

**BERŁO**  
ZNISZCZENIA

ELIZA DROGOSZ

KSIĘGI ANKH

**BERŁO**  
ZNISZCZENIA

© Copyright by Wydawnictwo Poligraf, 2017

© Copyright by Eliza Drogosz, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment ani zdjęcie nie mogą być publikowane ani reprodukowane bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: DEMO Effective Launching

Redakcja: Joanna Łagoda

Korekta: Klaudia Drózdź, Mirosława Kuczkowska

Skład: Wojciech Ławski

Książka wydana  
w Systemie Wydawniczym Fortunet™  
[www.fortunet.eu](http://www.fortunet.eu)

ISBN: 978-83-7856-497-3

Wydawnictwo Poligraf  
ul. Młyńska 38  
55-093 Brzezia Łąka  
tel./fax (71) 344-56-35  
[www.WydawnictwoPoligraf.pl](http://www.WydawnictwoPoligraf.pl)

**DLA MAMY I TATY,  
ZA WSZYSTKO**

## O „KSIĘGACH ANKH”

Tysiące lat temu w delcie Nilu kwitła niezwykła cywilizacja kraju faraonów. Jej trwanie wydawało się wieczne, choć jej bogowie wiedzieli, że takie nie będzie. To oni jako pierwsi dostrzegli symptomy zbliżającego się upadku. W obawie o los zapomnianych bóstw skazanych na wegetację w nicości nieśmiertelni podjęli próbę zachowania swych mocy. Uśpieni, przetrwali dziesiątki wieków. Teraz wreszcie ponownie nadszedł ich czas. Przebudzili się w ciałach współczesnych, niczego nieświadomych nastolatków, by...

Któż właściwie wie dlaczego?

Gdy Sonia Milewska otrzymuje zaproszenie na obóz zorganizowany w Egipcie, nie ma o tym wszystkim pojęcia. Dopiero na miejscu okazuje się, że wokół zaczynają dziać się coraz dziwniejsze rzeczy. Na jej ręce pojawia się świetlisty znak, zostaje osaczona przez demony o płonących oczach, inni uczestnicy zdają się posiadać nadnaturalne zdolności, a na dodatek jeden z nich wygląda dokładnie jak poszukiwany w całej Europie młodociany morderca.

Przypadek sprawia, że splatają się ze sobą losy Soni i ukrywającego swą prawdziwą tożsamość Brianta de Ramena, wciąż niemogącego pozbierać się po tragedii, która przytrafiła się jego rodzinie, i po tym, jak winą za nią obarczono właśnie jego. Usilnie starając się nie rzucać w oczy i poskromić targający nim gniew, próbuje on odkryć, co

ukrywa organizator obozu, Juan Mandara. Briant szczególnie podejrzliwie przygląda się prowadzonym przez niego poszukiwaniom Seta, boga pustyni. Czyli właśnie jego. Briant liczy też na to, że na obozie trafi na ślad skradzionego mu skarbu, potężnego wisiora w kształcie krzyża ankh – klucza życia, atrybutu umarłego Ozyrysa. Rozpaczliwie żywi się nadzieją, że krzyż mógłby mu pomóc przywrócić do życia tych, których odebrał mu brutalny los. Nie ma przy tym pojęcia, że nie wszyscy z jego bliskich zginęli...

Odzyskawszy Amulet Ozyrysa, ścigani przez straszliwego demona, Sonia i Briant uciekają na pustynię. I choć Sonia przeżywa prawdziwy wstrząs, odkrywszy, z kim naprawdę ma do czynienia, ostatecznie dociera do niej, że Briant nie może być tak zły, jak wszyscy myślą. Po tym, jak ratuje jej młodszą siostrę, postanawia mu zaufać i pomóc stawić czoła wrogom – prawdziwym mordercom jego rodziny.

Tak w wielkim skrócie zarysowuje się fabuła „Władcy Piasków”, pierwszej wydanej przeze mnie książki, która otwiera cykl „Ksiąg Ankh”. Dokładnie dwa lata minęły, odkąd ujrzała ona światło dzienne. Dziś wręczam Wam do rąk jej kontynuację, o którą pytaliście mnie od tak dawna. Oto ona, wreszcie. Mam nadzieję, że przypadnie Wam do gustu i wciągnie Was w świat „Ksiąg Ankh” jeszcze bardziej...

## *Prolog*

Srebrny blask księżycy wślizgnął się do pogrążonego w ciszy pokoju, przemknął po zimnych ścianach i padł na samotne łóżko. Białe światło sprawiło, że napięta twarz pogrążonego we śnie chłopca nabrała odrobinę nieludzkich cech. Wydała się nieco zbyt idealna, pozbawiona niedoskonałości. Gdyby tylko chłopak nie oddychał tak niespokojnie, dręczony sennymi wizjami, niektórym bardziej od człowieka przypominałby może wyrzeźbioną w kamieniu podobiznę jakiegoś starożytnego bóstwa.

Ta noc była bardzo wyjątkowa, sny bowiem przeniosły go do przeszłości.

Słońce oświetlało jaskrawymi promieniami starożytne ruiny świątyni Ra. Chłopiec o włosach w kolorze dojrzałej pszenicy przystanął niepewnie przy jednej ze zniszczonych ścian. W głowie wirowało mu tysiące zamglonych obrazów.

– To tutaj – powiedział cicho, kierując wzrok na brata.

– Miejsce z twoich snów?

Tak. Miejsce z jego snów. Przyłożył dłoń do chropowatego muru, niegdyś pokrytego świętymi napisami. Pod wpływem dotyku kamień zajaśniał złotym blaskiem, który niczym przybrzeżne fale rozlał się na całą powierzchnię ściany, a potem zbladł, pozostawiając po sobie migoczące wzory hieroglifów.

– Ray! Jak to zrobiłeś?!

Chłopiec ze snu uśmiechnął się niepewnie.

– Nie mam pojęcia. Ale w tych ruinach jest coś, co muszę znaleźć. Najdziwniejsze, że wiem, co robić. Patrz...

Po krótkiej chwili wahania sięgnął w stronę wybranego przez siebie znaku, jednego z tysiąca. Gdy tylko musnął go opuszkami palców, symbol zaczął jaśnieć coraz bardziej. Ziemia zadrżała, w powietrzu zawirował kurz, a fragment podłoża nieopodal nich zapadł się z hukiem. Obrócili się z zaskoczeniem, a następnie ostrożnie podeszli do dziury, przez którą widać było podziemny korytarz oraz prowadzące gdzieś w mrok skalne stopnie.

– C... co to jest?

– Nasza droga – szepnął Ray i bez lęku skoczył w dół.

– Zaczekaj! – wyjąkał jego towarzysz. – To może być niebezpieczne.

Lśniące złotem oczy przemknęły po starożytnych ścianach. Ich właściciel czuł, że nic mu tu nie groziło. Że powinien być tu przybyć. Że tajemnicze schody przez wieki czekały właśnie na niego.

– No, chodź, Levi. Nic nam się nie stanie.

Levi skrzywił się niepewnie, ale ostatecznie przycupnął na krawędzi i ostrożnie zsunął się w zatęchłe powietrze podziemi. Gdy ze stukotem wylądował na dnie, Ray posłał mu pewny siebie uśmiech i rzucił latarkę. Sztuczne światło wydobyło z mroku dalszy ciąg tunelu, w który niezwłocznie się zagłębili. Wkrótce stało się ono jedynym źródłem jasności, wydobywającym z ciemności blade ze starości malowidła, które podziwiali w pełnym oszołomienia milczeniu.

Schodzili coraz głębiej w gęstniejący mrok, a jego zimny oddech stawał się coraz intensywniej wyczuwalny. Nawet śniąc, Ray czuł, jak ciężko schodziło mu się w tych potwornych ciemnościach, z trudem rozpraszanych przez wątle snopy światła latarek. Nosił w sercu dziwne wrażenie, że korytarz powinien być jasno oświetlony. Że kiedyś na pewno tak było. Że wystarczy zmrużyć oczy, by mógł ujrzeć zamierzoną przeszłość.

W końcu dotarli do rozległej sali i niepewnie przystanęli w jej wejściu. Łuny lamp wydobyły z mroku zakurzone statuy, oplatające je woale pajęczyn oraz ziejące czernią otwory wydrążonych w naprzeciwległej ścianie korytarzy.

– Gdzie teraz?

Ray rozejrzał się uważnie.

Starożytną ciszę rozpraszało jedynie przyspieszone bicie ich serc. I ostrożny szelest dobiegający gdzieś zza ich pleców, który jednak umknął ich uwadze.

– Tam.

Zagłębili się we wskazany przez niego korytarz, zastanawiając się z lekką obawą, jak bardzo rozległa jest podziemna sieć, którą odkryli. Kilkakrotnie Ray miał ochotę zapytać brata, czy też wydaje mu się, że są przez kogoś lub przez coś obserwowani, ale ostatecznie nic nie powiedział. Zadowolił się rzuceniem przez ramię kilku niespokojnych spojrzeń.

Przecież byli w ruinach sami. Nikt ich nie zwiedzał, zapewne z powodu trudności dojazdowych. Nie było tu nikogo innego. To musiał być wiatr.

Gdy ich szeroko otwartym oczom ukazało się wejście do oszalałająco pięknej rotundy, zapomniał nawet o dziwnym niepokoju. Zatrzymali się w progu, chłonąc widok tańczącego w powietrzu bladego blasku. Z oczarowaniem wpatrzyli się w bogato zdobione ściany i pierścień smukłych kolumn otaczający stopy skarbów lśniących kamieniami szlachetnymi. Wśród prastarych kosztowności błyszczał złotem równie wiekowy sarkofag, a owo tajemnicze światło rozpraszające mrok podziemi zdawało się pochodzić właśnie z jego wnętrza, wypełzać z jego nielicznych szczelin niczym mgła.

– To... to jest absolutnie niesamowite! – szepnął Levi, gdy wreszcie był w stanie wydobyć z siebie głos.

Ray jednak go nie usłyszał. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w sarkofag. Z jakiegoś powodu wydał mu się on o niebo ważniejszy od wszystkich zgromadzonych wokół skarbów.

Ostrożnie przekroczył próg komnaty, a ziemia zadrżała łagodnie.

– Ray...!

Chłopiec zamrugał.

– Spokojnie. Wszystko dobrze. Nic mi się nie stanie.

– Skąd niby...?

– Po prostu wiem. Ja...

Słowa zamarły mu na ustach, albowiem oczy namalowanej na wieku zmarłej nagle zajaśniały blaskiem przewyższającym najostrzejsze słońce. Levi z syknięciem odwrócił się od światła. Jego brat nawet nie drgnął. Mógł patrzeć w słońce równie naturalnie, jak inni ludzie w gwiazdy.

*Ale... Te oczy... Te oczy!*

Ray wstrzymał oddech, czując gwałtownie bijące w piersi serce. Nagle coś jakby w nim przeskoczyło. Ujrzał dziwne obrazy... Usłyszał dziwne słowa...

Zadrżał.

*Te wizje... Nie. Przecież to niemożliwe!*

– Panie mój – rozległ się słaby głos.

Ray zamarł. *To on... To sarkofag! Stamtąd dobiegał głos... Ale ten język...* Chłopiec wiedział, po prostu wiedział, że nie ma prawa go rozumieć. Nikt nie mówił w nim od tysięcy lat.

– Kim jesteś? – wyszeptał, próbując nie słyszeć wypełniającego mu umysł chaosu.

– Panie mój – westchnął odległy głos. – Jestem twym najpokorniejszym sługą, którego ba wybrało wieczną służbę tobie zamiast rozkoszy Krainy Umarłych.

Szept w jego głowie wzmogły się jeszcze bardziej. Nie mógł ich dłużej ignorować... Ale przecież... To nie mogła być prawda.

– Panie mój – mówił dalej słodki głos z zaświatów. – O potężny Ra. Powróciłeś wreszcie po wiekach uśpienia, by przywrócić światu swój blask... Jesteś bogiem Obu Krain. Jesteś bogiem Kemet...

*...O potężny Ra...*

Ray pobałdł.

*...Jesteś bogiem Kemet...*

Gwałtownie zerwał się z łóżka. Sen rozprysł się na miliony ostrych drobin raniących mu serce. Z trudem łapał oddech. Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń zamglonym od snu wzrokiem. Potem zacisnął wypełnione bólem oczy w kolorze szlachetnego metalu.

– Och, Levi...

Gdyby tylko wiedzieli... To była jego wina. Czemu musiał go w to wciągnąć? Sam mógł zrobić wszystko, o czym mówiła. Sam mógł go znaleźć. Sam mógł zdobyć jego zaufanie. Sam!

– Dlaczego wciągnąłem w to ciebie...? – zapytał otaczającą go pustkę, czując wzbierające pod powiekami łzy.

Gdyby tylko wiedzieli, że nie byli tam sami. Gdyby wtedy odkryli, kto siedł za nimi korytarzami. Gdyby zorientowali się, kto jeszcze znał starożytną magię – nic złego by się nie stało.

Gdyby tylko wiedzieli...



## Rozdział pierwszy

# PLANY

Gdy tylko po korytarzach rozniósł się świdrujący dźwięk szkolnego dzwonka, Sonia wrzuciła książki do torby i zerwała się z krzesła.

– Nie idziesz dziś na rynek? – zawołały zawiedzione koleżanki, gdy zarzuciła torbę na ramię i skierowała się w stronę wyjścia.

– Nie, nie dziś!

*Bo dziś jestem z kimś umówiona* – miała ochotę dodać. Powstrzymała się jednak. Miała powody, by przypuszczać, że spowodowałyby to lawinę niewygodnych pytań. Szczególnie, gdyby wydało się, że to chłopak.

I to jeszcze jaki chłopak.

Zbiegła po schodach, a potem pchnęła ciężkie drzwi prowadzące na ulicę. Blask wrześnieego słońca zmusił ją do przymrużenia oczu. Choć świat wciąż zalewały cudowne fale światła, w powietrzu czuć już było stojącą u progu jesień. Już za niedługo korony drzew miały zabarwić się na tęczowo, a wiatr oprócz chłodu miał nieść ze sobą szelest suchych liści.

Maszerując wzdłuż jezdni, spojrzała na duży zegar stojący przy przystanku.

*Jestem już spóźniona* – uznała z pewną dozą zadowolenia. Dokładnie tak, jak zaplanowała. Specjalnie umówiła się z Briantem na wcześniejszą godzinę, gdy jeszcze trwała jej ostatnia lekcja. Zawsze



się spóźniał, absolutnie zawsze. A po tym, jak dwa tygodnie wcześniej niemal wpadła pod samochód, gdy zestresowana starała się dotrzeć na spotkanie na czas, a potem, gdy wreszcie się tam znalazła, musiała czekać na niego pół godziny w ulewnym deszczu, ona też zaczęła się spóźniać. Dzięki temu była szansa, że oboje pojawią się na miejscu mniej więcej o tej samej porze.

Wlekąc się za wycieczką dzieci w wieku około przedszkolnym, zastanawiała się intensywnie, co nowego wymyślił. Coś ważnego. Na pewno. Inaczej nie odzywałby się do niej zaledwie dwa dni po ich ostatnim spotkaniu, które zakończyło się rozstaniem w nastroju wyczuwalnego zniechęcenia. Nie żeby było to coś nowego. Nie mieli pojęcia, gdzie szukać. Błądzili wśród zupełnie przypadkowych domysłów niczym zagubiony w sercu Sahary podróżnik. Nawet coraz to nowe zwoje z przyświątynnej biblioteki nie rzuciły, jak na razie, choćby najmniejszego światła na ich poszukiwania. Na dodatek, ku jej ogromnemu niezadowoleniu, nie mogła się za bardzo wykazać. Chyba że przynosząc kolejne zwoje. Gdyby знаła język starożytnych Egipcjan, wszystko mogłoby inaczej wyglądać... Ale nie znała. Przez to czuła się czasami jak piąte koło u wozu, i właśnie dlatego zabrała się wreszcie za lekturę książki poświęconej tajnikom odczytywania pisma starożytnych. Jak na razie nie szło jej najlepiej. Ale zawsze było to lepsze niż nic.

Usiadła na murku przy bulwarach wiślanych i rozejrzała się po okolicy. Jedyne jej towarzystwem była pani z dziecięcym wózkiem i grupa zagranicznych turystów. Jego ani śladu. Czyli bez niespodzianki. Zapatrzyła się w rzeczne fale i unoszące się na nich łabędzie. Pozwoliła myślom dryfować.

Wczorajszego wieczoru, gdy krańcowo wykończona wróciła do domu z lekcji samoobrony, jego wiadomość już na nią czekała, emitując łagodny blask ze schowanego za zasłoną, wypełnionego piaskiem pudełka po butach. Była, jak zazwyczaj, bardzo enigmatyczna. Jedyne krótkie zdanie o tym, że wymyślił coś ważnego i że muszą się spotkać już następnego dnia. Sonia była ogromnie ciekawa, co to mogło być... Może coś wreszcie przypomniał? Gdyby tak było, być może wyruszyliby wreszcie na jakąś emocjonującą wyprawę po starożytne tajemnice!

Czasami, gdy leżała wieczorem w łóżku i próbowała zasnąć, snuła fantastyczne wizje ich wspólnej ekspedycji gdzieś na pustynię, wszystkich niebezpieczeństw, którym razem stawiliby czoła, i czekających na nich stosów złotych skarbów. Odkąd zaczęła mu pomagać, życie przestało być nudne i przeistoczyło się w nieustanną przygodę, ale i tak marzyła, że dokonają razem czegoś bardziej ekscytującego od przeglądania papirusów.

Na sam początek należało odnaleźć jego zgubę. Potem... kto wie?

Gdyby jeszcze była tak odważna jak on... Wtedy już nic nie stanęłoby im na przeszkodzie.

Mówił jej kiedyś, że nigdy nie odczuwa strachu. Zamiast tego ogarniała go złość, która pchała go do działania. Nie wiedziała, czy to prawda, ale jednego nie mogła mu odmówić. Dość często się złościł. Już dawno straciła rachubę w zliczaniu ich kłótni. Najgorzej było na początku, gdy zaczęli się spotykać. Chyba nie potrafił zaufać jej tak do końca. A na pewno nie tak szybko. Nie potrafił się do niej przyzwyczaić, co zdecydowanie nie pomagało jej czuć się przy nim swobodnie. Było naprawdę ciężko, ale na szczęście tylko na początku. Potem atmosfera ich spotkań stopniowo ulegała poprawie. Gdy poznali się na obozie, nawet przez myśl jej nie przeszło, że kiedyś mogą się przyjaźnić. Był okropny. Niemiły. A jednak... Teraz uważała go za swojego przyjaciela i miała nadzieję, że on też tak myśli. Lubiła ich wspólne spotkania. Rozmowa nie była już torturą. Nawet odnosiła wrażenie, że przestał być aż tak ponury i skryty jak kiedyś... Ale mogło jej się tylko zdawać. Może się po prostu do niego przyzwyczaiła.

– Hej! – odezwał się ktoś niespodziewanie, wytrącając ją z rozmyślań.

Obok niej o murek oparł się chłopak o włosach czarnych jak noc, które wyglądały trochę tak, jakby od dawna nie widziały grzebienia. Jak zazwyczaj był cały ubrany w ciemne barwy. Nie miała pewności, czy dlatego, że wyglądał w nich najlepiej, czy były to jego ulubione odcienie, czy może w pewien sposób za ich pośrednictwem chciał pamiętać o swojej przeszłości. Bo zawsze, absolutnie zawsze miał na sobie coś czarnego.

Uśmiechnęła się odrobinę złośliwie.

– No wreszcie jesteś! Już myślałam, że się nie pojawisz. Chyba pobiłeś dziś rekord w byciu nie na czas.

Wzruszył niewinnie ramionami, choć wyraz jego kasztanowych oczu dobitnie mówił, że jak zawsze zrobił to specjalnie i kompletnie się tym nie przejmował.

Z wyglądu nie różnił się wiele od innych jej rówieśników, może jedynie mroczniejszym strojem. Nic bardziej mylnego. Był odrodzonym egipskim bogiem i, jakby tego było mało, osobą powszechnie poszukiwaną.

– To jaki masz pomysł? – zapytała Sonia. – Wiesz, gdzie może być twoje berło?

Na samą wzmiankę o nim w jego oczach zajaśniało to chorobliwe światło. Chciał je odzyskać tak bardzo, że jej zdaniem tylko takim epitetem dało się opisać ten blask. A mimo to... W zasadzie chyba go rozumiała. Bez Berła Zniszczenia nie był do końca sobą. A przynajmniej tak mówił.

– Może... Pomyślałem, żeby sprawdzić w Mieście na Środku Pustyni. Nie wiem co prawda, czy je tam znajdziemy, ale nie mam już absolutnie żadnych innych pomysłów. Pamiętasz, mówiłem ci o nim?

– Pewnie, że pamiętam. Przecież cię słucham, a nie tylko udaję jak ty. To zniszczona przez Wyklętego świątynia gdzieś na pustyni. Tak?

– Tak. Moi kapłani wiedzieli, jak do niej dotrzeć. A ponieważ jest przeklęta, mogli być pewni, że nikt nie wykradnie z niej berła, dopóki nie powrócę. To dosyć logiczne. Tym bardziej że dodatkową ochronę stanowią śmiertelne pułapki. I krwiożerczy strażnicy.

– Sympatyczne miejsce – rzuciła.

– Kiedyś było prawdziwą perłą na pustyni – odparł, marszcząc brwi. – Ale teraz... to tylko ruiny. Nawiedzone cmentarzysko.

Spochmurniał, więc postanowiła nie drażnić tematu. Już dawno przekonała się, że lepiej nie rozmawiać z nim o przeszłości. Zbyt wiele nieprzyjemnych rzeczy go spotkało, by mógł patrzeć w nią bez zalu.

– Myślisz, że znajdziemy tam berło?

Zawahał się na sekundę.

– Wydaje mi się, że to prawdopodobna opcja.

– Ale pewności nie masz?

– Nie. W tych beznadziejnych zwojach kompletnie nic nie ma! Mam już tego wszystkiego tak strasznie dość! Chcę moje berło. Na tychmiast!

– Na początku zwoje bardzo cię fascynowały...

– No niby tak. Opisy skarbów przez pewien czas były rzeczywiście interesujące. Ale teraz?! Okropnie mnie nudzą. Na dodatek nic nie wnoszą. Miasto na Środku Pustyni to jedyny ślad, jakim dysponujemy. I dlatego muszę tam iść i przeszukać skarbiec.

Jej oczy zabłyśły.

– Idę z tobą!

– Eee. Nie wiem, czy to...

– Jasne, że to dobry pomysł! Musisz mnie wziąć. Będzie świetnie! O matko, nie masz pojęcia jak bardzo. Zawsze marzyłam o takiej wyprawie!

Zawahał się.

– No dobrze... Tylko nie mów potem, że nie ostrzegałem, że to miejsce jest nawiedzone.

Wywróciła oczami.

*Pewnie przesadza, jak zwykle* – pomyślała.

– Proszę cię. Nie strasz bez powodu. To duchy twoich kapłanów. Ciebie na pewno posłuchają. A ja będę przecież z tobą!

– No... tak.

– To kiedy wyruszamy?

Już nie mogła doczekać się tego dnia!

– Jutro?

Znieruchomiła.

– Ale jutro jest czwartek!

– No i?

– Ja... ja mam szkołę.

Uniósł sugestywnie brew.

– Nie pójdę na wagary!

To, że przestała być punktualna, to jedno. Ale nie było opcji, by przez niego zaczęła opuszczać szkołę! Rodzina chybaby ją zabiła, gdyby się dowiedziała. A dowiedziałyby się na pewno. Prędzej czy później.

– Czemu nie? Ja to chyba połowę roku spędziłem na wagarach.  
 – Jasne, połowę!  
 – Okej. Może trochę przesadziłem. Ale naprawdę dużo. Uwielbia-  
 liśmy chodzić do lasu, nad taką rzekę. Było super.  
 – Nie miałeś potem problemów?  
 Uśmiechnął się trochę pobłaźliwie.  
 – Coś ty! Dyrektorka była przyjaciółką rodziny. Wiesz, ma się te  
 znajomości.  
 – Wspaniale. Tyle że moi rodzice nie przyjaźnią się z moją dyrek-  
 torką. I nigdy w życiu nie pozwoliliby mi uciec z lekcji.  
 Lekceważąco wznurzył ramionami.  
 – Zrobisz, jak chcesz. Ja wyruszam jutro.  
 – Dobrze. Ja też. Ale pójdziemy po południu.  
 Rzucił jej ciężkie spojrzenie.  
 – To dłuższa wyprawa. Miasto jest ogromne, przecież ci mówiłem.  
 Podobno mnie słuchasz. A na wszelki wypadek, żebyś słowa „dłuż-  
 sza” nie zinterpretowała jako taką trwającą trzy godziny, podkreślam:  
 zajmie nam to cały dzień, od rana do wieczora.  
 – No to chodźmy w weekend.  
 – Mówiłem już. Ja idę jutro.  
 – Ale ja też chcę iść! – Zrobiła nieszczęśliwą minę. – Tak strasz-  
 nie...  
 – Przecież ci nie bronię.  
 – Nie pójdę na wagary!  
 – Wolisz książki ode mnie. Twój wybór.  
 – Oj, weź! Co ci szkodzi? Chodźmy w weekend... Proszę.  
 – Jesteś gorsza niż mój brat – uznał, krzywiąc się.  
 – Pójdziemy?  
 – W zasadzie... możemy. Tyle czekam, to dwa dni mnie nie zba-  
 wią. Sobota ci pasuje czy masz jakieś korki, których nie możesz  
 opuścić?  
 Zawahała się.  
 – Em... Nie może być. Co powiesz na niedzielę?  
 – A co jest nie tak z sobotą?  
 Poruszyła się niespokojnie.

– Bo widzisz... Z piątku na sobotę organizuję niewielką imprezę  
 dla koleżanek.  
 – O! Z jakiej okazji?  
 – U... urodzin.  
 Zerknął na nią z zaskoczeniem.  
 – Masz urodziny? I nic nie powiedziałaś?  
 – Hm. Tak właściwie to już miałam.  
 – Aha. Kiedy?  
 – W sierpniu. Ale dopiero teraz robię imprezę.  
 Zmarszczył brwi.  
 – No, to wszystkiego najlepszego – mruknął. – Życzenia nie by-  
 łyby tak strasznie spóźnione, gdybyś była na tyle łaskawa, żeby mnie  
 powiadomić.  
 – Ale ja...  
 – Nieważne. Nic nie mów. Widzimy się w niedzielę. O ósmej rano.  
 Obrócił się na pięcie, jakby chciał odejść. Zaskoczona Sonia otwo-  
 rzyła usta, ale zanim zdążyła się odezwać, obejrzał się na nią i zrobił  
 to pierwszy.  
 – I wiesz co? Życie według zasad jest nudne. Spróbuj kiedyś zro-  
 bić coś szalonego. Nigdy nie odzyskałbym amuletu, gdybym bał się  
 zaryzykować. I zwracał uwagę na zadania domowe. Niektóre rzeczy  
 są od nich ważniejsze. Warto o tym pamiętać. Cześć.  
 – Zaczekaj! – zawołała, ale on już zamienił się w piasek, który  
 wiatr porwał gdzieś w niebo.  
 Zmarszczyła z irytacją brwi.  
*No jasne, najprościej się obrazić. No bo po co miałby posłuchać  
 tego, co mam do powiedzenia?* – pomyślała.  
 Musiał się naprawdę zezłościć, skoro zignorował swoją własną za-  
 sadę: „Uważaj, by nikt cię nie widział, gdy robisz rzeczy, które dla  
 zwykłych ludzi są zbyt przerażające”.  
 Zeskoczyła z murku i energicznie ruszyła w stronę najbliższego  
 przystanku.  
 Tak w ogóle, to nie była jej wina z tymi urodzinami. Chciała mu  
 powiedzieć. Nawet specjalnie tak wszystko ułożyła, żeby spotkać się  
 z nim dzień wcześniej. Skąd miała wiedzieć, że nie będzie zadowolono-

ny, że zabrała go do pijalni czekolady? Jak niby miała się domyślić, że z niewiadomego jej powodu tak bardzo nie lubi czekolady i pójdzie sobie bez słowa, zostawiając ją samą jak jakąś idiotkę? Tym razem na poważnie ją zirytował. I obiecała sobie, że wiele czasu minie, nim znowu się postara i go gdzieś zaprosi. Lepiej było spotykać się na bulwarach.

Sapnęła poirytowana, gdy zauważyła, że właśnie uciekł jej tramwaj. Trudno. Poczekaj kolejne dziesięć minut.

Wraz z rodzicami i młodszą siostrą wciąż mieszkała u dziadków. Czekali, aż do ich spalonego domu znów będzie można się wprowadzić, co mogło jednak potrwać jeszcze trochę, tym bardziej że mama wykorzystwała sytuację, by unowocześnić wystrój wnętrza. Choć nie mogła narzekać na gościnność babci i dziadka, Sonia z niecierpliwością czekała na powrót do swojego prawdziwego pokoju, swojego prawdziwego domu. Tęskniła zwłaszcza za tą szczególną domową atmosferą, którą wyczuwało się w każdym jego kącie.

Czasem zastanawiała się, jak to jest mieszkać samotnie gdzieś na środku pustyni, w starożytnym ogromnym pałacu. Jak to jest wylaniać się z mrocznego portalu i przemierzać wielkie, puste, zakurzone sale? Nie słyszeć niczyjego głosu? Co robiłaby wieczorami, gdyby miała już dość czytania zwojów? A co robi on? Czy pograża się w myślach i wspomina swoje dawne życie? A może planuje przyszłość? Cokolwiek by to było, była przekonana, że nie jest mu wesoło. Nie wątpiła, że złotooka Sahara dodaje trochę barw i uroku jego życiu na odludziu. Ale podejrzewała, że to za mało. Pies, choćby nie wiadomo jak mądry, to przecież nie to samo co człowiek. Miała jednak świadomość, że Briant nigdy jej się nie przyzna, jak naprawdę mu się żyje. Zawsze będzie tworzył pozory czegoś lepszego. No bo po co miałby się żalić? Litość i współczucie to chyba ostatnie rzeczy, na jakich mu zależało.

*Pewnie jestem dla niego czymś w rodzaju reliktu normalnego życia – pomyślała, opierając się o ściankę przystanku. Może właśnie dlatego nie przestał się jeszcze do mnie odzywać. No bo z jakiego innego powodu? Choć bardzo się staram, jestem wybitnie nieprzydatna w poszukiwaniach. No ale jak jeszcze mogłabym mu pomóc? Starożytny Egipt to nie mój świat. Nic o nim nie wiem.*

\* \* \*

– Sonia, skończyły nam się orzeszki – zmartwiła się jedna z jej koleżanek.

– Zaraz doniosę, daj miskę – westchnęła, trochę niechętnie wstając z podłogi.

– O, to przynieś jeszcze chrupki!

– I czekoladę!

Sonia uśmiechnęła się miło, choć tak naprawdę miała ochotę skrzywić się z irytacji. Tak się składało, że też chciała oglądnąć ten film. Nawet jeśli umierała ze strachu od samego początku, gdy jeszcze nie zdążyło się zdarzyć nic strasznego. Zdecydowanie nie nadawała się do oglądania horrorów, co nie oznaczało, że nie chciała tego robić wraz z innymi.

– Jasne. Już idę.

*Czy każę mi też zamówić więcej pizzy, gdy już całą zjedzą?* – zastanowiła się, zbiegając po schodach. W kuchni zastała całą swoją rodzinę. Na jej widok jak jeden mąż unieśli brwi.

– Znowu się coś stłukło? – prychnęła Lilia.

– Oczywiście, że nie! Brakło nam jedzenia.

– Czemu na co dzień tyle nie jesz, Soniu? – westchnęła babcia. – Powinnaś wziąć przykład ze swoich przyjaciółek.

– Babciu! Proszę cię – jęknęła. – Naprawdę sugerujesz, że powinienam opychać się pizzą, czekoladą i orzeszkami?

– No nie...

– No właśnie.

Wrzuciła do miski potrzebne przekąski i skierowała się z powrotem do salonu telewizyjnego. Już na schodach słyszała głosy podekscytowanych koleżanek tak dobrze, jakby stały tuż obok.

*Już nie oglądają filmu?* – zdziwiła się, przechodząc obok drzwi swojego pokoju.

Nagle, mimo hałasu, usłyszała coś dziwnego. Coś jakby zgrzyt. Przystanąła z wahaniem. To brzmiało jak poruszane wiatrem okno, które tata już dawno miał naoliwić.

*Dziwne – pomyślała Sonia. Ja go na pewno nie otwierałam. A jeśli nie ja, to kto inny.*

Zerknęła na szparę pomiędzy drzwiami a podłogą. W pokoju było ciemno. Czyli to żadna z jej koleżanek. Chyba że któraś postanowiła posiedzieć po ciemku... Zważywszy na to, że właśnie były w trakcie oglądania horroru, Sonia szczerze wątpiła w tę możliwość. W jej głowie zawirowały wizje skradających się pod osłoną nocy złodziei. Albo kogoś jeszcze gorszego od nich... Przystawiła głowę do drzwi i wsłuchiwała się w panującą w pokoju ciszę, którą po chwili ponownie zakłócił tajemniczy dźwięk. Przygryzła wargę.

*Och, dlaczego zgodziłam się na horror...! Teraz boję się nawet otworzyć drzwi do własnego pokoju! A przecież powinnam tam zajrzeć...*

Niespokojnie obejrzała się za siebie, a potem ostrożnie postawiła miskę z przekąskami na stoliku stojącym obok drzwi. Sięgnęła ręką w stronę klamki, ale zawahała się tuż przed tym, jak jej dotknęła.

*Briant by się nie bał – fuknęła na siebie w myślach. Już dawno by to sprawdził. To nie może być nic złego... Przecież nikt, kto życzy mi źle, nigdy nie przekroczy progu tego domu. Ani się do mnie nie zbliży. Albo jakoś tak. Chroniąca dom magia na pewno jest bardzo silna... Nie ma powodu do strachu. Po prostu muszę to zrobić!*

Wstrzymując oddech, zacisnęła palce na zimnym metalu. Powoli nacisnęła na klamkę, a gdy wyczuła, że drzwi łagodnie ustąpiły, pchnęła je gwałtownie i błyskawicznie sięgnęła ręką w stronę znajdującego się wewnątrz włącznika. Lampa zabłysła, a jej światło wyłoniło z ciemności ładnie posprzątaną pokój. Sonia znieruchomiała, przeczesując wzrokiem każdy z kątów, ale w żadnym z nich nie czaił się spodziewany napastnik. Było pusto, jedynie przez otwarte, poruszone wiatrem okno przedostawały się do środka fale nocnego chłodu.

*Oczywiście, że jest pusto! A niby kto miałby się na mnie zasadzić w moim własnym pokoju?!*

Zadrzała, nie tylko z powodu chłodu. Wiedziała dobrze, że jej strach nie był do końca bezpodstawny. Obawiała się przecież ogromnie, że pewnego dnia, gdy zupełnie nie będzie się tego spodziewać, zagrożenie powróci... Jak w nawiedzających ją czasami koszmarach,

niespodziewanie wyskoczy skądś Wyklęty, a ją znów sparaliżuje porażenie. Tak jak w lipcu. Bo przecież mógł wrócić. Gdyby zginął na Saharze... Ale został jedynie chwilowo osłabiony i unieszkodliwiony. Niestety. I właśnie dlatego bała się, że jeszcze kiedyś spotka go na swojej drodze.

To, że z niewiadomych jej powodów od ucieczki z obozu nikt nie próbował się z nią skontaktować, bynajmniej jej nie uspokajało. Wręcz przeciwnie, niepokoiło ją coraz bardziej. Nie miała pojęcia, czy próbowali, lecz przeszkodziła im magia chaosu. Czy nie obserwowali jej dyskretnie każdego dnia.

Fakt, że ich nie widziała, nie musiał przecież znaczyć, że ich nie było. Że o niej zapomnieli. Bo na pewno nie zapomnieli.

Pomimo że Briant stuprocentowo ufał swoim czarom i zirytowany powtarzał jej chyba z tysiąc razy, że na pewno nic jej nie grozi, nie potrafiła wyrzucić z głowy wszystkich wątpliwości. W obawie przed tym, że wrogowie boga pustyni pojawią się kiedyś przed jej domem, zapisała się na kurs samoobrony. Zaczęła zwracać uwagę na wszystko, co działo się dookoła. Starła się być przygotowana na ewentualne zagrożenie. Ku zdumieniu rodziny, zapisała się nawet na dodatkowe lekcje francuskiego. Co prawda doszła dopiero do etapu poznawania liczb, ale była zdeterminowana, żeby nauczyć się go jak najlepiej. Na wszelki wypadek, jakby miało się to kiedyś przydać. A także... Nagle bardzo jej się spodobał. Do angielskiego także postanowiła bardziej się przykładać. Bo Briant był od niej o niebo lepszy, co ją straszliwie denerwowało. Znał tak ogromną liczbę słówek, jakby połknął cały słownik, a na dodatek ten akcent... Też chciała tak mówić.

Podeszła do okna, zaciękawiona leżącym na parapecie przedmiotem, którego wcześniej na pewno tam nie było. Uniosła ze zdziwieniem brwi na widok bransoletki spoczywającej na złożonej kartce. Lekkie linie jej krzywizn i spirali błyszcząły krystalicznie podkreślone czerwienią kilku drobnych kamyczków, które postanowiła uznać za rubiny. Nie miała jeszcze żadnej biżuterii z rubinami, a zawsze uważała je za bardzo piękne. Jednak to, co najbardziej ją zaintrygowało w bransoletce, był materiał, z którego ją wykonano.

Wyglądał na szkło albo kryształ górski. Wydawała się przez to tak bardzo krucha... Jakby nawet najłżejsze zetknięcie z czymś twardym mogło ją zniszczyć.

Zerknęła na kartkę, na której czerniło się kilka słów. Natychmiast rozpoznała to specyficzne, pełne zawijasów pismo.

*Wszystkiego najlepszego. Tylko następnym razem  
uprzedź mnie wcześniej, że masz urodziny.  
Myślisz, że to Tataro wymyślić jakiś prezent  
na poziomie, jeśli jest się bogiem?  
No przecież nie mogę Ci dać byle czego!*

Uśmiechnęła się pod nosem, a następnie wyjrzała przez okno i uważnie zlustrowała całą okolicę. Nikogo nie dostrzegła.

– Dzięki – wyszeptła na wszelki wypadek, jakby jednak czał się gdzieś w cieniu, i zamknęła okno. Aż wzdrygnęła się z zaskoczenia, gdy niespodziewanie ktoś odezwał się za jej plecami.

– Sonia, jest jeszcze pizza?

– Nie, ale możemy zamówić – odparła, wsuwając prezent i karteczkę do szuflady. – Jaką byście chcieli? Znowu hawajską?

\* \* \*

Słoneczne promienie przenikały przez bransoletkę i rozszczały się, tworząc tęczę na ciemnym drewnie biurka. Sonia oparła głowę na skrzyżowanych na blacie rękach i zapatrzyła się w delikatne kolory.

Przyjaciółki opuściły jej dom prawie godzinę temu, gdy już wspólnymi siłami uporały się ze sprzątaniami. Od tamtej pory podziwiała prezenty. Na sam koniec zostawiła bransoletkę. Była naprawdę śliczna i ogromnie podobało jej się, jak wygląda na jej nadgarstku.

*Naprawdę się postarał* – pomyślała, obserwując, jak błyszczy w słońcu. *Chyba mnie polubił. Inaczej na pewno nie dalby mi czegoś tak ładnego. Nie chciałoby mu się tak starać.*

Uśmiechnęła się. Ciekawe, kiedy wreszcie się do niej przekonał...?

*Może...*

– Sonia! Obiad! – zawołała mama.

Skrzywiła się odrobinę.

– Już idę! – odkrzyknęła posłusznie, rzuciła ostatnie spojrzenie na prezent i wstała z fotela.

Zbiegła po schodach i już po chwili zasiadła do stołu wraz z całą rodziną. Spojrzała na swój talerz.

– Babciu – jęknęła natychmiast. – Za dużo! Nie zjem tyle rosółu, przecież wiesz.

– Zjesz, zjesz... To nieduża porcja!

– Chyba raczej ogromna.

– A może ci nie smakuje?

– Smakuje – westchnęła, rezygnując z dalszej rozmowy. Jak doskonale wiedziała, nie sposób było wygrać z takim argumentem.

Posłusznie zanurzyła łyżkę w zupie. Chwilę później tata odchrząknął, przerywając panującą przy stole ciszę, i oznajmił, że razem z mamą wymyślili coś wspaniałego.

– Mam tylko nadzieję, że nikt z was nie ma innych planów na jutrzejszy dzień – dodał takim tonem, jakby to było całkowicie nie-realne.

Sonia zakrztusiła się rosółem i przez to nie mogła zaprotestować.

– Otóż postanowiliśmy, że wyruszmy całą rodziną na wielką rodziną wycieczkę rowerową! Cały dzień na rowerach. Co wy na to?

– Ależ Zyguncie! – wykrzyknęła z zachwytem babcia. – To cudowny pomysł! Tak dawno nie byłam na żadnej wycieczce. Mam nadzieję, że nie zapomniałam, jak się jeździ.

– Na pewno nie – uspokoił ją dziadek.

– Gdzie pojedziemy? – zainteresowała się Lilia.

– Gdzieś w plener. Może do lasu?

– Super! Mam dość śmierdzącego miasta.

– Czy to musi być akurat jutro? – wykrztusiła wreszcie Sonia.

– Tak. Podobno to ostatni ładny weekend. Potem ma być już zimno i deszczowo. Trzeba to wykorzystać.

– Może za tydzień też będzie ciepło i wtedy pojedziemy...?

– Jak będzie ciepło, to też możemy pojechać, owszem. Wspaniały pomysł.

– Ale...

– Sonia, będzie fantastycznie – włączyła się mama do rozmowy. – To pewnie ostatnia szansa w tym sezonie. Przecież tak lubimy jeździć na rowerach. Będzie super.

– A mogę nie jechać? – zapytała cicho.

Rodzina aż zamilkła z wrażenia.

– Nie ma mowy. To rodzinny wyjazd!

*No właśnie.*

– Nie chcesz z nami jechać?

– Nie o to chodzi...

– To o co?

Sonia stłumiła głębokie westchnienie.

– Bo ja się już z kimś na jutro umówiłam. Bardzo chcę się z nim spotkać.

– Z nim? – Lilia aż opluła się zupą i skuliła na krześle, gdy mama spojrzała na nią krzywo.

– Z tym kimś – mruknęła Sonia. – Nie bądź taka drobiazgowa.

– A kto to jest?

– Nie znacie. Mogę zostać?

– Nie. To rodzinny wyjazd. Z koleżanką spotkaj się kiedy indziej. Do kawiarni można iść zawsze, na rowery – nie. Przelóż to spotkanie. Na pewno zrozumie, jak jej wyjaśnisz.

*No nie wiem* – pomyślała Sonia. Obawiała się jednak, że kłócenie się z rodziną nie miało sensu. I tak postawią na swoim. Dlatego zrezygnowała z ciągnięcia tematu i zamiast tego zaczęła intensywnie rozmyślać nad najlepszym sposobem poinformowania boga pustyni o zmianie planów. Przypuszczała, że na pewno nie będzie tym zachwycony. Ale cóż, nie ma rady. Gdy w grę wchodzi wielka rodzinna wycieczka rowerowa, wszystko inne przestaje się liczyć. Może to zrozumie. Kiedyś. Bo na pewno nie od razu.

\* \* \*

*Skąd oni wiedzą, gdzie mnie szukać?* – zastanowił się, śledząc nieprzyjaznym wzrokiem niewielki kształt przecinający bezchmurne niebo. Smukłego sokoła o ostrych szponach, wbijającego w pustynię płonące nienawiścią oczy, od czego swędziała go skóra na ręce.

Nawet jeśli Pałac Pośród Piasków znajdował się w innym wymiarze przestrzennym i nikt niepowołany nie potrafił tak po prostu do niego trafić, to mimo wszystko czuł niepokój za każdym razem, gdy intruzi znajdowali się tak blisko jego bram. Za blisko. Za każdym razem przypominało mu się, jak Astrid i Estera wniknęły do środka. Obawiał się, że ktoś inny także mógłby znaleźć na to jakiś sposób. Nawet jeśli po ich wizycie wzmocnił granice swojej oazy tak, by nie udało się to już nikomu.

– Przylatują tu prawie codziennie – powiedział do siebie cicho. – Muszą wiedzieć, czego szukają. I gdzie. Bardzo dziwne.

Z zamyśleniem zerknął za siebie. U stóp wydmy, na której szczycie się znajdował, w całej swojej okazałości rozpościerał się starożytny kompleks pałacowo-świątynny, mieniący się bielą potężnych ścian, złotem piasku, błękitem niewielkich jezior i zielenią ogrodów. Jego dom.

Zbiegł z wydmy i zanurzył się w półcieniu panujący pod szeleszczącym baldachimem drzew. Tuż przed twarzą śmignęła mu spłoszona papuga, iskrząc się karminową czerwienią piór. Prawie nie zwrócił na nią uwagi. Zdążył się już przyzwyczaić, że wszystkie znajdujące się w jego otoczeniu ptaki były dziwnie nerwowe. Zmrużył oczy, delektując się otaczającym go cieniem, zakłócanym jedynie gdzieś tam przez migotliwe smugi słonecznego światła. Uwielbiał spacerować po całym terenie pałacu. Każdy jego zakątek był magiczny. Dlatego wołał poruszać się pieszo niż w postaci wirującego na wietrze piasku lub za pośrednictwem cieni. Wtedy mógł więcej dostrzec. I czuć się odrobinę bardziej jak ktoś normalny.

Po kilku minutach marszu wąską ścieżką w prześwitach pomiędzy roślinnością zamiast piasku pojawiły się kamienne rzeźby tworzące monumentalną Aleję Sfinksów o głowach Salaawy. Gdy tylko na nią

wszedł, jego wzrok, jak zawsze, przykuły znajdujące się u jej końca dwa ogromne, pokryte złotem oraz malowanymi obrazami bitew pylony znaczące wejście do Świątyni Gwiazd. Przejście doprowadziło go na rozległy dziedziniec z fontanną, na którym skręcił w prawo i przez ozdobną bramę przedostał się na kolejny, tym razem otoczony gąszczem monumentalnych kolumn. Zanurzył się w panujący pod nimi mrok, który wkrótce doprowadził go do Pałacu Cieni. Z niechęcią pomyślał o ogromnej liczbie starożytnych zwojów, których jeszcze nie przejrzał. Doszedł do pokrytego rzędami hieroglifów rozwidlenia i przystanął z wahaniem. Zerknął na prawo, w stronę per medżat, „domu zwojów”. I w lewo, w stronę wyjścia na taras przy częściowo zarośniętym papirusem jeziorze.

*Na dziś wystarczy tej męczarni – uznał i skręcił w lewo.*

Chwilę później rozsiadł się wygodnie na hebanowym meblu i wyczarował sobie lodowatą lemoniadę. Sącząc intensywnie cytrusowy napój, zastanawiał się, czy naprawdę każdy inny wyczułby w nim jedynie piasek i przez to nie mógłby go przełknąć. Podejrzewał, że pewnie tak. Na szczęście on sam czuł jedynie smak idealnej lemoniady. Gdy przez chwilę przebywała tu Sonia, musiał wybrać się do sklepu i kupić prawdziwe jedzenie. Ale teraz nie było to potrzebne. Zadowalał się swoimi własnymi wytworami, które zresztą z pewnością były o niebo lepsze od tego, co ewentualnie próbowałby ugotować. No, chyba że byłby to makaron z sosem z proszku albo jajecznica. Nie przepuszczał, by umiał przyrzędnąć coś bardziej ambitnego.

Rozluźnił się i pozwolił myślom płynąć swobodnie. Ciekawe, czy Soni spodobał się prezent? Miał nadzieję, że tak. Pierwszy raz zrobił coś takiego i byłby bardzo niezadowolony, gdyby nie zostało to docenione. Przy okazji odkrył, że potrafi zmienić piasek w szkło.

Już jakiś czas temu zauważył, że jej towarzystwo miało na niego dziwny wpływ. Postrzegała życie w jaśniejszych barwach niż on. Być może właśnie to sprawiło, że trochę się przez nią uspokoił. Przestał nieustannie rozmyślać o zemście, przygasło to bez przerwy palące go wcześniej pragnienie zniszczenia istot, które zrujnowały mu życie. Odkrył, że może poczekać. Na ten odpowiedni moment, gdy wymyśli już idealne dla nich katusze.

Wyłowił uchem jakiś dźwięk. Uniósł się na łokciu i obejrzał w stronę wejścia na taras. Zalegające wewnątrz cienie poruszyły się i wyłoniła się z nich zadyszana Sahara. Uśmiechnął się szeroko, a ona machnęła puszystym ogonem.

– Wreszcie wróciłaś – powiedział, przypatrując się, jak ciężko kładzie się na posadzce, a swój kremowy pysk wspiera na nagrzanym kamieniu.

Drapiąc ją za uchem i obserwując wzburzone w ten sposób drobiny pyłu, zastanawiał się, gdzie tym razem była. Nie widział jej całej trzy dni. Co jakiś czas go opuszczała i wyruszała gdzieś na pustynię. Wiedział, że zawsze do niego wróci, ale i tak nie lubił, gdy znikala. Zostawał wtedy sam. Osaczały go wspomnienia, a każdy szelest poruszanych przez wiatr liści zdawał się skradającym wrogiem... Z nią u boku był bardziej pewny siebie. Był bardziej sobą. I potrafił stawić czoła wszystkim swoim lękom.

– Wiesz co? – odezwał się, żeby zagłuszyć płynące w złą stronę myśli. – Jutro wyruszam do Miasta na Środku Pustyni. Wreszcie.

Nie mógł się już doczekać. Był prawie pewny, że właśnie tam znajdzie Berło Zniszczenia. Berło uas. Symbol władzy, potęgi i panowania nad siłami chaosu. Atrybut bogów i faraonów. Broń, która przywróci mu jego pierwotną moc... Dzięki której na powrót stanie się najsilniejszym bogiem. W pełni sobą. Będzie mógł zrobić wszystko. Nikt mu nie przeszkodzi.

Spochmurniał. Bez niego był tak żałośnie słaby. Wspomnienie beznadziejnej walki z Wyklętym, której nie przegrał jedynie cudem, wciąż go drażniło. Przecież był wtedy zbyt słaby, by walczyć z nim nawet jak równy z równym! A było to zaledwie dwa miesiące wcześniej... Jedynie dwa! Jak bardzo mogła rozwinąć się przez ten czas jego powoli budząca się moc?

– Niewiele – mruknął do siebie, wpatrując się w łagodnie falujące liście palmy. – Za mało.

Drgnął, gdy w powietrzu przed nim pojawiły się utkane z tęczowego blasku litery. Wiadomość od Soni.

„Briant? Strasznie mi przykro, ale nastąpiła pewna komplikacja i nie dam rady jutro z tobą pójść”.



Zmarszczył brwi. *Że co?*

Trochę zirytowany, wyobraził sobie, że w powietrzu pojawiają się nowe litery. Wiadomość Soni natychmiast zbladła, a w jej miejscu pojawiły się migoczące czerwienią słowa.

„Niby dlaczego?”

„Muszę jechać z rodziną na wycieczkę rowerową. Strasznie przepraszam. Nie mogę tego zmienić, już próbowałam. Możemy iść kiedy indziej?”

– Kiedy indziej? – warknął, aż obudził drzemiącą Saharę. – Nie chcę dłużej czekać!

A na dodatek... Wycieczka z rodziną... Rozpędem rozdrażnionego umysłu nakreślił w powietrzu kolejne słowa.

„Rowery są dla ciebie ważniejsze ode mnie?! Nie mogę czekać w nieskończoność! Ciągłe wolisz robić coś innego. Nie zmienię planów tylko dlatego, że chcesz sobie gdzieś pojechać z rodziną! Masz ich na co dzień”.

„Wolałabym iść z tobą! Naprawdę”.

„To chodź”.

„Nie mogę... To nie takie proste. Przepraszam. Nic nie poradzę. Możemy pójść kiedy indziej?”

„Nie”.

Zmrużył oczy ze złością. *Co ona sobie wyobraża?! Idę jutro i koniec. Nie chce iść ze mną, to nie. Wcale jej nie potrzebuję.*

„Proszę... Naprawdę muszę z nimi jechać. To podobno ostatnie dni ładnej pogody i w ogóle. Nigdy w życiu nie pozwolą mi zostać w domu!”

Wywrócił oczami. A potem coś zaświtało mu w głowie. *Ostatnie dni ładnej pogody...? Uśmiechnął się chytrze. Zdecydowanie nie.*

„Widzimy się o ósmej, tak jak mówiłem. Nigdzie jutro nie pojedziecie”.

„Niby dlaczego?”

„Spójrz za okno. Takiej burzy dawno nie widziałas. Nie ma opcji, żeby dało się jutro jeździć na rowerach. Chyba że twoja rodzina lubi wielkie spływy w błocie”.

\* \* \*

Sonia drgnęła, gdy piorun trzasnął gdzieś bardzo blisko jej okna. Rzuciła szybkie spojrzenie na szybę, o którą zabębniły pierwsze ciężkie krople deszczu.

– Niesamowite – szepnęła, bo jeszcze przed chwilą świeciło słońce.

„Raczej nie lubimy spływów w błocie. Powinno się udać” – napisała na piasku, a następnie odsunęła pudełko w głąb biurka. Udało się... Nawet nie było tak strasznie, jak myślała. Choć zapewne tylko dlatego, że nie oznajmiła mu tego w cztery oczy. Wtedy na pewno musiałyby wysłuchać miliona wyrzutów. Całe szczęście, że ten sposób porozumiewania się wprowadzał pewne ograniczenia.

Zerknęła na stos zadań domowych i stłumiła jęk.

*Och, naprawdę nauczyciele nie wiedzą, co to miłosierdzie...*

Uniosła długopis, żeby powrócić do rozwiązywania matematyki, kiedy nagle rozległo się pukanie do jej drzwi.

*Tak! Kolejny pretekst, żeby odłożyć pracę na później.*

– Sonia? – zapytał tata, zaglądając do środka. – Chyba musimy zmienić plany.

– Ojej...

– Niestety. Sama widzisz, jaka nawałnica idzie. Sprawdziłem prognozy. Podobno jutro ma być tak samo. Nie jedziemy na wycieczkę. To byłby jakiś koszmar. Trzeba ją odłożyć na kiedy indziej.

– Szkoda...

Tata smętnie pokiwał głową.

– Cóż, możliwe, że zamiast jeździć na rowerach, pływalibyśmy w błocie – zauważyła żartobliwie. – Dobrze, że nie jedziemy.

– Hm. Ja tam się nie cieszę. Ale przyszedłem ci powiedzieć, że jak najbardziej możesz się spotkać z koleżanką.

– Dzięki. Tak zrobię.

– No. To ja idę powiedzieć Lili.

– Dobrze, tato – odparła, a gdy zamknęły się za nim drzwi, uśmiechnęła się promiennie i z powrotem przysunęła do siebie pudełko z piaskiem.

„Udało się. Widzimy się jutro”.



## Rozdział drugi

# STRAŻNICY ŚWIĄTYNI

Sonia stłumiła ziewnięcie i nie do końca przytomnym wzrokiem rozejrzała się po pokoju.

*Chyba jestem gotowa* – pomyślała i po raz kolejny zerknęła w lustro. Ubrana była w dżinsy, zielony T-shirt i lekką kurtkę koloru khaki, którą kupiła niedawno specjalnie z myślą o wyprawie do ruin. *Powinno być dobrze...*

Z oddali dobiegło ją bicie stojącego w salonie zegara. Wpół do dziewiątej.

Zaplatając warkocz, przypomniała sobie zdumione miny rodziców, gdy poprzedniego wieczoru zapowiedziała im, o której ma zamiar wyjść z domu. Zdecydowanie nie mogli uwierzyć, tym bardziej że w weekendy zazwyczaj spała prawie do obiadu.

– A gdzie wy się wybieracie z tą koleżanką? – zdziwił się tata, gdy na dodatek dowiedział się, że jego córka wróci przypuszczalnie dopiero wieczorem.

– Sama jeszcze nie wiem. Ale chcemy spędzić razem cały dzień. Może pójdziemy na zakupy? – odparła, wiedząc, że po takiej odpowiedzi raczej nie będą pytać dalej. Rzeczywiście stracili zainteresowanie drążeniem tematu. Całe szczęście.

Zbiegła do kuchni, wsłuchując się w pomruki burzy. Jeszcze nie padało. Przypuszczała jednak, że wkrótce się to zmieni. Rzuciła szyb-

kie spojrzenie za okno w przedpokoju. I zamarła ze zdumienia. Briant stał przed furtką i ze złością wpatrywał się w drzwi wyjściowe. *Ups* – pomyślała i umknęła do kuchni, gdzie jak najszybciej zjadła talerz kanapek, które przygotowała sobie wieczorem, żeby móc pospać trochę dłużej. Potem wsunęła nogi w górskie buty, zarzuciła na ramię niewielki plecak i wyszła z domu.

Briant wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć.

– Cześć! – zawołała do niego pogodnie.

Spojrzał na nią ze złością.

– Mieliśmy wyjść o ósmej! Godzinę temu.

– Wcale nie godzinę! Czterdzieści pięć minut.

– To nie zmienia faktu, że i tak się spóźniłaś.

– Brawo. Tak jak na wszystkie spotkania. Ty nigdy nie przychodzisz na czas.

– Jak mi zależy, to przychodzę!

Uniosła brwi ze zdziwienia.

– Chodź lepiej – rzuciła, ruszając przed siebie.

– Nie wyglądasz na wyspaną – zauważył, zrównując z nią krok. – Czyżby była to dla ciebie zbyt wczesna pora?

– Nikt normalny nie wstaje tak wcześnie z własnej woli – odcięła się. – Zwłaszcza w weekend.

– Ja lubię wcześnie wstawać.

– Ale ty nie jesteś normalny, jakbyś jeszcze nie zauważył.

Skrzywił się, ale nic nie odpowiedział. Skręcili w boczną uliczkę i po niedługim marszu dotarli do działki, na której miano wybudować dom. Jak na razie jednak, nie licząc przekrzywionego ogrodzenia, które na pewno pamiętało PRL, znajdowała się tam jedynie wielka góra piasku i bujnie rozrośnięte krzewy. Przeskoczyli chyboczącą się, zamkniętą na kłódkę bramę i podeszli do hałdy. Briant wyciągnął w jej stronę rękę i poruszył palcami. Mocny podmuch wiatru poderwał z ziemi kilka liści i porwał je w górę wraz z piaskiem. W powietrzu uformował się kształt, który przy odrobinie wyobraźni wyglądał niczym smukły, utworzony z poruszających się beładnie drobin prostokąt. Portal.

Oczy Soni zabłyśły.

– Gotowa?

– No pewnie!

– To w drogę.

Briant zanurkował w przejście, a Sonia tuż za nim, zaciskając powieki, wstrzymując oddech i zasłaniając dłonią usta oraz nos. Ogarnął ją klaustrofobiczny lęk, gdy ze wszystkich stron odczuła nacisk kłębiących się ziaren piasku. Zupełnie jakby nie chciały przepuścić jej dalej. Nie znosiła tego uczucia chyba najbardziej na świecie! Budziło w niej jakąś pierwotną obawę...

Wreszcie, po kilku sekundach, które ciągnęły się dla niej niczym godziny, opór piasku ustał. Wynurzyła się z przejścia i gwałtownie wciągnęła w płuca drgające od ciepła powietrze. Otworzyła oczy, jednak z powodu oślepiającego blasku słońca musiała natychmiast je przymrużyć. Żar lejący się z nieba od razu dał się jej we znaki i zmusił do zrzucenia z siebie kurtki. Uklękła, wyciągnęła z plecaka okulary słoneczne i upchnęła do niego okrycie. Z ulgą zasłoniła oczy ciemnymi szklami i uniosła wzrok znad ziemi. Jej serce przyspieszyło. Oszołomiona, powoli podniosła się z klęczek.

Po portalu nie było najmniejszego śladu. Znajdowali się na grzbiecie ogromnego barchanu, a we wszystkie strony aż po horyzont ciągnęły się złote fale pustyni. Stojący obok niej bóg chaosu nieruchomo wpatrywał się w rozciągającą się u ich stóp oazę. Spomiędzy zaschniętych kikutów palm wynurzały się ruiny rozległego, choć w znacznej części zasypanego kompleksu świątynnego. Sonia wielkimi oczami chłonęła ponury obraz prawie zupełnie zniszczonego muru, zrujnowanych pylonów, zwalonych kolumn, pokruszonych posągów, wysuszonych akwenów. Miasto na Środku Pustyni przypominało jej zwłoki zagubionego na Saharze podróżnika. Wszystko w nim wydawało się martwe. Otwory drzwiowe przywodziły na myśl skojarzenie z pustymi oczodołami, a szczątki kolumn z rozrzuconymi przez wiatr kośćmi... Zadrzała. Powoli opuszczała ją pewność siebie. To miejsce było takie... upiorne. Emanowało cierpieniem, a swoim nieruchomym milczeniem zdawało się grozić wszystkim istotom, które choćby pomyślały o tym, by się do niego zbliżyć.

Niesfornie kosmyki włosów, które wydostały się z warkocza, poślaskotały ją w twarz. Łagodny wiatr przemknął nad pustynią, lecz nie wzruszył tym, co niegdyś było oazą. Nawet jedno ziarnko piasku nie przetoczyło się po ziemi.

Również wiatr omijał zrujnowaną świątynię.

Sonia z trudem odetchnęła głębiej, by rozluźnić węzeł, który powoli zaciskał się wokół jej serca.

– Tam jest tak nienaturalnie spokojnie – szepnęła.

Briant drgnął i spojrzał na nią zamglonym wzrokiem.

– Bo tam rządzą upiory – odparł cicho. – I starożytna magia, która ogranicza nawet mnie. Nie mogę otworzyć portalu w obrębie świątyni. Ani nawet zamienić się w piasek.

– Ojej...

– Spokojnie, raczej nic nam się nie stanie. Chodź.

Postąpił krok do przodu i płynnie zsunął się po stromym zboczu. Sonia szerzej otworzyła oczy. Zatrzymał się dopiero hen w dole, tuż przed szczątkami muru świątynnego, i wyczekująco obejrzał się na nią.

– Idziesz czy nie?

– Już, już...!

Przyjrzała się wydmie i poruszyła się niespokojnie. Przecież była prawie pionowa!

*On się nie bał. Ty też nie możesz!* – pomyślała i odważnie ruszyła naprzód. Założenie było takie, żeby ześlizgnąć się równie zgrabnie jak on. Niestety nie wyszło. Natychmiast straciła równowagę i ze zduszonym okrzykiem wylądowała na twardym piasku, który osunął się kilka metrów niżej, niosąc ją ze sobą.

– Po co ja wczoraj myłam włosy – jęknęła nieszczęśliwie, gdy wreszcie wyhamowała.

Spróbowała wstać, ale ponownie straciła równowagę i zjechała kolejne metry niżej. Rozbawiony Briant parsknął z niedowierzaniem, co usłyszała nawet mimo dzielącego ich dystansu. Zmrużyła oczy.

– Tak dobrze się bawisz? – zawołała, siadając. – Już ja ci pokażę, tylko poczekaj!

– O, brzmi strasznie! A ile jeszcze mam czekać? Ja tu zaraz zasnę z nudów.

– Obudzę cię, jak zejdem – burknęła, ostrożnie podnosząc się na nogi.

– A może ci pomóc?

– Nie trzeba! Dam sobie radę.